

Fragment opowiadania

— Do stu karaluchów, Bartek, wyłazisz w końcu z wyra?! — wrzasnął Kajtek do swojego brata bliźniaka, który się ciągle wylegiwał w łóżku. — Za piętnaście minut musimy być już u babki Maliniakowej. Maks na pewno czeka już na nas i stoi z rowerem przed furtką domu swojego wujostwa.

— Cicho Kajtek! Musisz tak wrzeszczeć? — Bartek na wpół przytomny próbował uciszyć brata. — A swoją drogą, to jest dziwne, znów odgadłeś moje myśli. Kiedy w nocy ty już spałeś jak suseł, to ja obmyślałem, jak pozbyć się tych setek, ohydnych karaluchów z domu Maliniakowej. A tak w ogóle, to czemu mnie nie obudziłeś? Ty już jesteś w pełnym rynsztunku, a ja ciągle sterczę w łóżku.

— Nie, ja chyba zwariuję z tobą! — Kajtek ze zgorzowaną miną zakomunikował bratu. — Od pół godziny próbuję ciebie postawić do pionu, a ty... Wszystko jedno już... Wyskakuj wreszcie z pościeli i pędź do łazienki. Zrobiłem z mamą kanapki, więc śniadanie zjesz po drodze. A karaluchom daj jeszcze pożyć. Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

Po dziesięciu minutach bracia siedzieli już na rowerach i pedałowali jak szaleni. Chcieli choć trochę zmniejszyć swoje spóźnienie, aby Maks zbytnio nie marudził, że znów sterczy jak kołek u płotu, czekając na nich.

Wakacje dobiegały końca. Jeszcze tylko tydzień i... „witaj szkoło”. Dlatego chłopcy śpieszyli się bardzo, aby godnie zakończyć swoje trzecie wakacje w życiu, tym bardziej, że za dwa dni Maks musiał wracać do domu, do Warszawy.

Chłopcy byli rówieśnikami, z tym że Kajtek i Bartek mieszkali na wsi i chodzili do wiejskiej szkoły, a Maks zaś, to „miastowy chłopaczyna” (jak go nazywali bliźniacy), mieszkał w Warszawie i tam uczęszczał do szkoły. Od trzech lat przyjeżdżał na całe lato na wieś do swojego wujostwa. Chłopcy od razu bardzo się zaprzyjaźnili. Wszystkie dni spędzali razem, na zabawach i wędrownkach leśnych. Czasami też pomagali starszym w domu. Każdego dnia, zaraz po śniadaniu, dopytywali się: czy i co mają pomóc, aby jak najszybciej zrobić co muszą i mieć robotę z głowy... I zająć się wreszcie swoimi sprawami.

Wczoraj po obiedzie znów wybrali się do pobliskiego lasu. Chcieli nazbierać kawałków drewna i korzeni dla Maksa do domu. Maks uwielbiał rzeźbić w drzewie i wykonywać różne figurki z korzeni. Łazili po lesie, zbierając do plecaków co ładniejsze okazy i opowiadali sobie różne, śmieszne wakacyjne historyjki. Co chwilę rzeli tubalnie ze śmiechu. Tak ich te własne opowieści bawiły. Gdy nagle, uszu ich dobiegł cichy, ale rozpaczliwy skowyt. Stanęli jak wryci. W pierwszej chwili nie wiedzieli, czy mają uciekać, czy szukać tego miejsca skąd dochodziły te odgłosy. Kiedy jednak skowyt stał się głośniejszy i bardziej rozpaczliwy, bez słów rzucili się w jego kierunku. Jakie było ich

przerażenie, gdy za drzewem, między krzewami malin, zobaczyli zwiniętego w kłębuszek kudłatego czarnego psa. Oniemieli. Kajtek pierwszy odzyskał rezon. Pojął w lot, że pies musi być głodny i spragniony. Wyjął z plecaka butelkę z wodą mineralną i wlewał ją biednemu pieskowi wprost do pyska. A ten chlupał językiem łapczywie i głośno. Widać było, że był bardzo spragniony. Potem Bartek sięgnął do swojego plecaka i wyciągnął ostatnią kanapkę, którą na szczęście nie zdążył jeszcze zjeść. Pokruszył ją na woreczku i przysunął psu pod jego czarną smutną mordkę. Na widok jedzenia, piesek powoli podniósł się i na chwiejnych nogach zabrał się od razu za jedzenie kanapki. Wtedy chłopcy dopiero zauważyli, że on był przywiązany grubym sznurem do pnia drzewa. Maks się popłakał, a Kajtek z Bartkiem ze łzami w oczach zabrali się szybko za odwiązywanie węzłów sznura, złorzeczając przy tym podłym ludziom, którzy tak potraktowali żywe stworzenie. — „I co my z nim biednym teraz zrobimy?” — pytali siebie nawzajem. Wiedzieli dokładnie, że starsi się nie zgodzą, aby psinka została w którymś z domów, bo w każdym był już pies podwórkowy. Wiedzieli też, że sami nic nie wymyślą i muszą się jednak udać po poradę do starszych. Jednego byli tylko pewni, że nie zostawią psa samego w lesie na pastwę losu za żadne skarby świata. Kiedy się tak głośno zastanawiali nad tym co dalej zrobić, piesek wyciągnął szyję i zaczął lizać każdego po rękach z wielką miłością w swoich czarnych oczach. I znów im się łzy w oczach zakręciły. Postanowili niezwłocznie iść do domu. Iść bardzo powoli, aby osłabiony pies mógł za nimi podążać. Bo żeby go nieść, nie było mowy. Dopiero jak stanął przy nich wyprostowany, zobaczyli jakie to duże psisko.

Szli powoli. Pies równo z nimi. Na początku trochę chwiejnym krokiem, ale z każdym następnym szedł jakby coraz pewniej, próbując nawet merdać swoim olbrzymim kudłatym ogonem.

Razem zdecydowali najpierw iść do domu bliźniaków i zobaczyć jak rodzice zareagują i co powiedzą. Kiedy już dotarli do domu, zauważyli, że w podwórku stoi samochód wujostwa Maksa. Pewnie przyjechali z wizytą. Chłopcy byli nawet zadowoleni, iż nie będą musieli dwa razy opowiadać wszystkiego od początku i dwa razy prosić o pomoc dla psa. Chcieli cichutko wejść do domu, ale się nie udało. Filut, ich pies podwórkowy, zaczął ujadać jak oszalały na widok obcego psa u boku chłopców. Starsi, wszyscy wraz, momentalnie wybiegli z domu na podwórko. Myny mieli przerażone i zdziwione jednocześnie. Jeden przez drugiego zasypywali chłopców lawiną pytań. Chłopcy stali z rozdziawionymi buziami i nie wiedzieli, na które pytanie odpowiedzieć. Maks na wszelki wypadek rymnął na kolana i mocno przytulił do siebie psa.

Rodzice bliźniaków i wujostwo Maksa od razu zrozumieli, i to bez słów, o co chłopcom chodzi z tym psem. Kategorycznie zabronili nawet mieć nadzieję, że zgodzą się na zatrzymanie psa. Wiadomo, w obu domach psy już były. Ale gdy chłopcy opowiedzieli w jakich okolicznościach znaleźli psa, starszym zrobiło się żal biedulki. Długo się zastanawiali jak mu pomóc, jednak nic

sensownego im do głowy nie przychodziło. W końcu tato bliźniaków wpadł na pomysł, aby chłopcy poszli z psem do babki Maliniakowej. Od czasu kiedy zmarł stary Maliniak, ona mieszkała sama w małej leśniczówce pod lasem. — „Może się zgodzi zatrzymać psa? Z nim nie będzie się czuła taka samotna, a on i domu jej przypilnuje.” — Zastanawiał się głośno tato.

Chłopcy powodowani nadzieją, od razu pognali z psem do starej leśniczówki. Psiak nie odstępował od nich nawet na krok. Najwyraźniej wyczuł, że tu chodzi o niego i bardzo się starał pokazać, iż jest coś wart.

Babka Maliniakowa na początku nieufnie i niechętnie podchodziła do ich pomysłu. Bała się, że nie da sobie rady, że jest za stara na tak dużego psa. Chociaż psa chciała mieć już od dawna, ale nie aż takiego olbrzyma. Pies jakby wyczuł jej rozterkę. Podczołgał się do niej i zaczął ją lizać po jej starej i pomarszczonej dłoni. Babce serce zmiękło i... zgodziła się przyjąć go do siebie.

Chłopcy byli bardzo zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Obiecali często przychodzić i pomagać jej opiekować się psem.

W tym samym czasie na podwórko Maliniakowej zajechał traktorem z przyczepą nowy pan leśniczy. Przywiózł babce drzewa na opał i ziemniaki na zimę. Gdy staruszka opowiedziała mu co zaszło, pochwalił chłopców za ich dobre serce i zaradność. Panu leśniczemu spodobał się pomysł z nowym lokatorem starej leśniczówki. Ale stwierdził, że aby nowy lokator poczuł się bardziej u siebie, potrzebna mu buda. Umówił się z chłopcami na następny dzień, na ósmą rano, ażeby zbudować psu budę. Obiecał jeszcze tego wieczoru ponacinać i odpowiednio przygotować deski oraz papę i przywieść jutro wraz z narzędziami.

Pierwszą noc pies miał spać w komórce przy chacie. Babka Maliniakowa przyniosła kożuch po starym Maliniaku i razem wymościłi psu legowisko. Wszystko grało. Nareszcie chłopcy mogli być spokojni. Jedyne co nie dawało im jeszcze spokoju, to karaluchy, które spacerowały sobie po klepisku komórki. — „Obrzydliwość!” — co rusz wzdrygał się Maks. A Kajtek i Bartek śmiali się tylko z Maksa, ale w końcu postanowili coś z tym „fantem” — kiedyś — zrobić.

Kiedy wyszli z komórki, usiedli jeszcze na ławce przed chatą, a pan leśniczy zaczął gawędzić na temat leśnej fauny i flory w podległym mu obwodzie, i nie tylko. Chłopcy słuchali tych opowieści z zapartym tchem. A babka Maliniakowa co chwilę potakiwała panu leśniczemu. Znała od dawna wszystko to, o czym pan leśniczy opowiada. Tyle lat była przecież żoną leśniczego.

Leśniczy gawędząc, ciągle coś szkicował na niewielkiej kartce papieru. Nawet nie widział z jakim zainteresowaniem chłopcy go słuchają. I kiedy skończył swoje opowieści, rozłożył kartkę na kolanie. Chłopcy ze zdumieniem zauważyli, że był to projekt budy dla psa. Pan leśniczy przekazał kartkę na ręce Maksa. Na godne ręce przyszłego artysty (jak się wyraził). Potem ułożyli psa na

jego legowisku i pożegnali się... Aby znów nazajutrz — spotkać się w tym samym miejscu.

Kiedy chłopcy wrócili do swoich domów, na szybko i w wielkim skrócie opowiedzieli starszym co się wydarzyło u babki Maliniakowej. Śpieszyło im się bardzo do łóżek. Chcieli jak najszybciej mieć noc za sobą, bo czekał ich ogromnie interesujący dzień... Dzień następny.

Maks stał już z rowerem przed domem wujostwa w pełnym pogotowiu i cały czas spoglądał na drogę, na której powinni pojawić się koledzy. Stał już tak dobre piętnaście minut, coraz bardziej zniecierpliwiony. Pomału zaczynał już być zły na bliźniaków... Gdy nagle zauważył, że ci pędzą na rowerach z rozwianymi bluzami, ale nie drogą tylko opłotkami po polnej ścieżce. Uśmiechnął się do siebie. Zrozumiał jak bardzo musieli się namęczyć, aby nadrobić swoje (notoryczne) spóźnienie. Zrzucił plecak na ramiona, wsiadł na rower, i nie czekając na nich, ruszył w stronę starej leśniczówki.

— No co ty, Maks! No nie bądź zły — wysapał Kajtek, gdy wreszcie udało im się dogonić kolegę. — To Bartek zasnął, bo do późna w nocy walczył z karaluchami.

— Nie, jeszcze nie walczył. Obmyślał tylko strategię walki — poprawił brata równie zaspany Bartek.

— A niech was...! Na was nie można być nawet porządnie złym. Wasze tłumaczenia zawsze mnie rozbijają — skwitował Maks i zaczął jeszcze szybciej pedałować.

Gdy po kilkunastu minutach wpadli na podwórko babki Maliniakowej, pan leśniczy stał już z nią przy komórce, a pies wił się jak piskorz między nimi, oszalały z radości.

— Witamy... psia brygado! — zawołał pan leśniczy na ich widok. — Akurat przywiozłem materiał na budę. No już, uspokójcie się, bo wyglądacie, jakby was ktoś postraszył. Wszystko w porządku. Pies spał grzecznie całą noc, babka zresztą też. Jak tam Maks, rozgryzłeś ten mój projekt? Bo w większości sami będziecie się musieli zająć budową.

— Tak, oczywiście! — krzyknął Maks zziąjanym głosem. — Myślę, że damy radę.

— To dobrze, bo ja nie mam dużo czasu — rzekł pan leśniczy. — Zabierajmy się więc do roboty. Wyjaśnię wam jeszcze co niektóre rzeczy i zacznę z wami, a potem, wy już sami dalej...

— Ale musimy wpierw wymierzyć psa — dorzucił jeszcze Maks.

— Zaraz, a może też w trakcie pracy wymyślimy jakieś imię dla psa? — spytał Kajtek, próbując jednocześnie przystawić metr do podskakującego z radości psa. — Na psa urok! No stójże! Co za żywotny egzemplarz... No co? Powinien mieć jakieś imię, nie?

— Racja, Kajtek. Dobrze mówisz — odpowiedział pan leśniczy, przykładając zdjętą przez Kajtka miarę z psa do deski. — Tylko ja myślę, że babce Maliniakowej powinniśmy zostawić ten przywilej nadania mu imienia. Ona jest teraz jego panią.

— Tak? Myślicie, że ja mogę nadać imię psu? — spytała Maliniakowa, kraśniejac z radości. — Tak? Bo ja mam takie jedno imię. To jest imię, którym u nas nazywano wszystkie psy. Od zawsze. Od dziada-pradziada. To imię, to: Kurdesz.

— Niech ja zakwitnę! Kurdesz...?! A cóż to za imię, babko? — wypalił Bartek zdegustowany, zatraskując głośno lewą burtę przyczepy.

— To piękne imię! — odpaliła natychmiast Maliniakowa Bartkowi. — Pamiętam, jak byłam małą dziewczynką mój pradziadek opowiadał mi jak wielkie znaczenie w naszej rodzinie miały psy. Były najlepszymi myśliwymi, obrońcami, oddanymi przyjaciółmi. Nie mogły więc inaczej się nazywać... tylko... Kurdesz. Bo Kurdesz, moi drodzy, znaczy: najlepszy towarzysz, przyjaciel... A ja tak bardzo potrzebuję kogoś bliskiego — dodała już ciszej, wycierając dyskretnie oczy.

— No widzisz, gamoniu?! To piękne imię. W sam raz dla takiego psa — doinformował Kajtek brata, podając Maksowi ostatnią deskę z przyczepy traktora. A po chwili dodał jeszcze: — A i psu się podoba. Patrz, jak merda ogonem z zadowolenia...